

JACKOWI

Powróćmy jeszcze do teorii słonia. Słonia poznawać należy jako takiego, powiada fenomenolog. Nie ma słoni „jako takich”, odpowiada strukturalista, są tylko ich uspołecznione wyobrażenia. Dlaczego słoń ma trąbę? — zapytywał na egzaminie Jacek Ołędzki (przynależność metodologiczna nieokreślona) i zarówno fenomenolog, jak i strukturalista okazywali się bezradni wobec tak perfidnie sformułowanego problemu. — Dlaczego słoń ma trąbę? — żeby się Freud dziwił. Skądinąd faktura jest jednak, że słoń trąbę rzeczywiście posiada. Ma również dwa kły z kości słoniowej, odstające uszy, jest bardzo duży i dlatego rzuca się w oczy. A jak już w oczy kole, to spokoju nie zazna. Przyjdą fenomenolog ze strukturalistą, potem jeszcze taki Ołędzki (przynależność metodologiczna nieokreślona) i zaczęta deliberować.

W Afryce jest słoń symbolem siły, pomyślności, długowieczności i mądrości, ale również gwałtowności i brzydoty (u nigeryjskich Ibo). W Europie przypisuje mu się niezgrabność (słoń w sklepie z porcelaną), w Azji przeciwnie, wychwala się jego ostrożność i stabilność. Są o słońiach rozliczne przysłowia: „Kto słonia na ucztę prosi, głód do domu wprowadza”¹, „Słoń myszy nie chwyta”², „Busz od słonia silniejszy”³, „Nie hańba uciekać przed słoniem”⁴, „I słoń poślizgnie się na różę”⁵ etc. Słoń wspiera glob, słoń trzyma w trąbie koronę, słoń a sprawa polska. Słoń tu i tam.

A co na to słoń!?

Zapytywać słonia, jakim jest, stanowi oczywiście próżny trud. Słoń ma małe oczka osadzone z przodu. Widok od tyłu zasłaniają mu uszy. Co gorsze nie ma na świecie tak dużego zwierciadła żeby się słoń mógł w nim przejrzeć. Słoń nie wie więc, jakim jest i nigdy się nie dowie. Słoń nie domyśla się nawet, że jest organizmem wielokomórkowym, bo komórki — jak napisał Eliade — widać dopiero w mikroskopie, a słoń ma za duże łapy, żeby manipulować tak subtelnym aparatem, więc nie może sobie nastawić ostrości. Przeciętny słoń nie wie także, dlaczego ma trąbę i nigdy nie czytał Freuda. Pytanie „a co na to słoń” jest więc właściwie czystym przykładem retoryki, gdyż z góry wiadomo, że nie słyszał on nic o symbolach, ani fenomenologii, że więc po prostu nie ma z nim o czym gadać.

Bo co właściwie ma słoń do powiedzenia?

Mógłby zapewne opowiedzieć, że wczoraj podrapał się w buszu, że jego młoda (studwudziestoletnia — u słoni to się inaczej liczy) kochanka puściła go kantem, że najpiękniejszą rzeką jest Luangwa (wprawdzie kuzyn woli Limpopo, ale on się nie zna), że kiedy nad Kilimandżaro błyszczą gwiazdy chwyta go czasami jakaś cholerna, niewytłumaczalna tęsknota za innym, nie słoniowym życiem, że od czasu do czasu, wieczorem dopada go duszny strach przed chorobą, starością, samotnością i śmiercią, że najwspanialszą rzeczą na świecie są dopiero co narodzone

słoniki — malonkie i różowe... Wybaczcie państwo, ale chyba sami rozumiecie, że to wszystko ani fenomenologa, ani strukturalistę obchodzić nie może.

Dlatego radziłbym słoniom adresować się do Aleksandra Jackowskiego.

Domem Jacka jest sztuka (jak ją zwał, tak ją zwał — niemamy tu istniejącego mętnik terminologicznego) naiwna. Tym zaś różni się ona od sztuki określanej najczęściej mianem „profesjonalnej”, iż o ile ta druga realizuje najczęściej założenia teoretyczne lub omija znaki, których interpretacja pozostawiona zostaje odbiorcy, sztuka naiwna jest w najgłębszej swojej istocie opowieścią. Jako taka może być oczywiście wydana na żer strukturalisty i fenomenologa. Jackowski inną wybrał jednak dyrektywę metodologiczną. Postanowił opowieści po prostu wysłuchać. Są słuchania i słuchania. Pomiędzy nimi słuchanie rozumiejące jest słuchaniem ogromnie rzadkim. Nie wiem, czy się Jacek z darem tym urodził, czy wypracował go w mozołach i w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Czekam tylko na chwilę, gdy odkłada swoje naiwne cacka i to co usłyszał:

„Głośno i dzieciom i sobie powtarza.

A wiatr kołysze zielonymi liśćmi

I cętki światła biegają po twarzach.”⁶

Słoń wysłuchany i zrozumiany przestaje być niezgrabną górą szarego mięsa. Staje się słoniem, do którego ma się stosunek, staje się słoniem podmiotowym. Nie znam się na teoriach dotyczących sztuki naiwnej. Nie potrafię rozróżnić ucha Reinfussa od nosa Kunczyńskiej — Irackiej. Wiem natomiast iż dzięki Jackowi dziwne Chajcowo potwory, szopki Pioluszcakowe, kopie Więckowo, widoczki Nikiforowe czy Ociepkowe krasnoludy wtargnęły nie tylko do mojego życia. Że dostaliśmy odeń w prezencie nowy wymiar rzeczy.

Oczywiście, opowiadając, zmuszeni jesteśmy do nazywania a więc klasyfikowania, do przekładania z języka na język. Staje więc Jacek przed tym samym problemem adekwatności, który spędza sen z powiek Lévi—Straussa, Goodenough'a, strukturalisty i fenomenologa. Jak go rozwiązuje? — Przekonywałem się o tym za każdym razem, kiedy sam znalazłem się w sytuacji słonia — niewysłuchanego, ze smutkami na słoniową miarę, gdy koła mnie magia Jackowego słuchania. Słuchania dobrego.

To prawda, że wprowadzenie do nauki pojęcia dobroci i to jeszcze dla zdefiniowania metody jest zabiegiem nie tylko ryzykownym, ale przede wszystkim naiwnym, Lecz może tu właśnie klucz do tajemnicy? Może dla zrozumienia sztuki zwanej naiwną potrzebna była ta dobroć, którą tak często zwykliśmy też za naiwną poczytywać, a która jest tak wielką Jacka siłą; Słoni pocieszeniem, sztuki najgłębszym odczuciem, naszym niesplaconym długiem.

P R Z Y P I S Y

¹ *Nowa Księga przysłów polskich*, Warszawa 1972, t. 3, s. 321

² tamże

³ *Proverbes, sentences et maximes*, Paris 1980, s. 469 (nigeryjskie).

⁴ tamże, s. 237 (syjamskie).

⁵ tamże, s. 189 (perskie).

⁶ Czesław Miłosz, *Przy piwoniach*, wers 10—12.